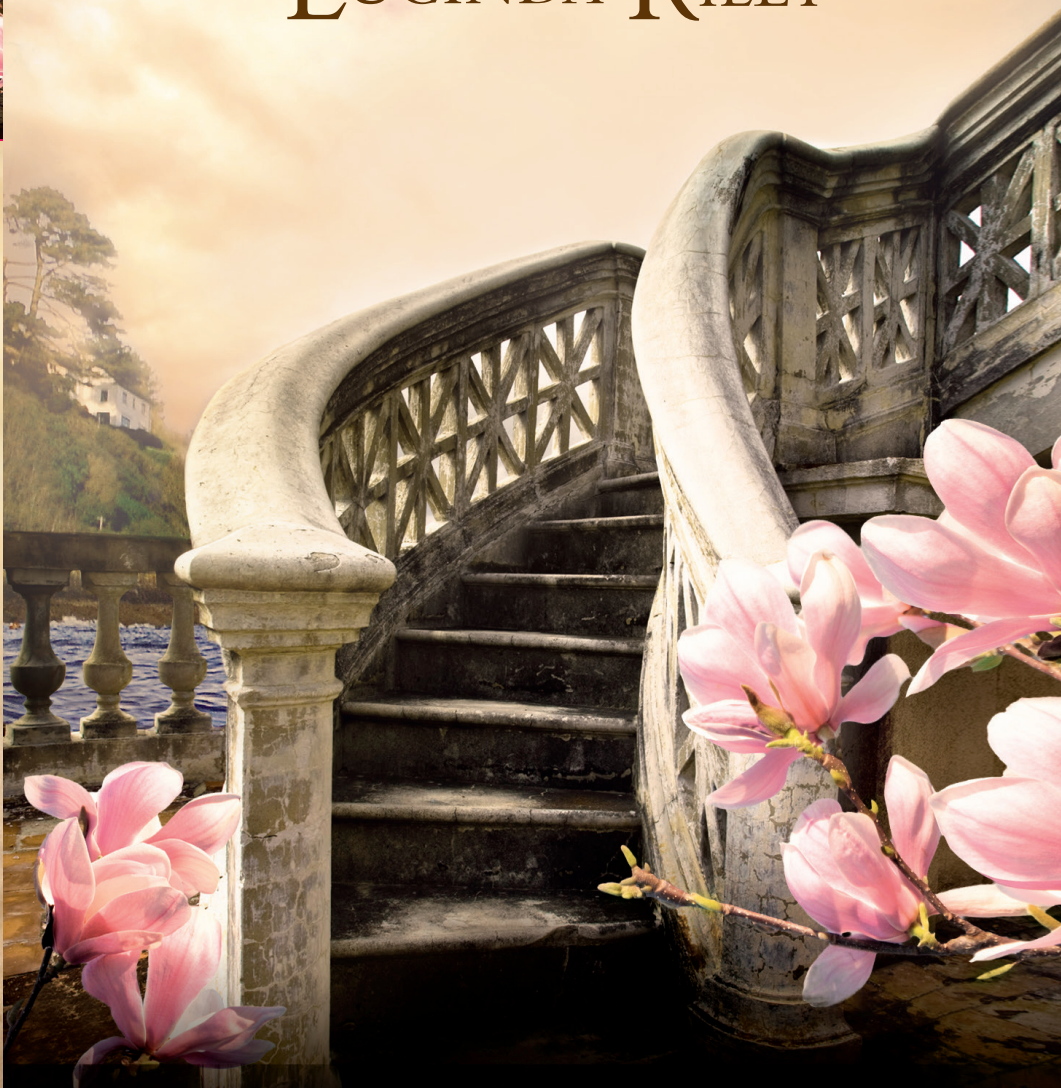


DZIEWCZYNA NA KLIFIE

LUCINDA RILEY



DZIEWCZYNA
NA KLIFIE

LUCINDA RILEY

1

Zatoka Dunworley, zachodnia część hrabstwa Cork, Irlandia

Drobna postać stała niebezpiecznie blisko krawędzi klifu. Jej bujne, długie rude włosy powiewały za nią unoszone silną bryzą. Sukienka z cienkiej białej bawełny sięgała jej do kostek i odkrywała małe bosc stopy. Ręce wyciągnęła przed siebie, a dłonie odwróciła w stronę kłębiącej się w dole, spienionej masy szarego morza. Błądą twarz skierowała w górę, jakby składała z siebie ofiarę na pożarcie żywiołów.

Grania Ryan stanęła i przyglądała się jak zahipnotyzowana osobie, która wyglądała niczym zjawa. Nie była w stanie zaufać swoim skołatany m zmysłom na tyle, by na pewno stwierdzić, czy to, co widzi, dzieje się naprawdę, czy jest wytworem jej wyobraźni. Na ułamek sekundy zamknęła oczy, a kiedy je otworzyła, zobaczyła, że postać jest tam nadal. Przekazała mózgowi odpowiednie instrukcje i ostrożnie zrobiła parę kroków naprzód.

Kiedy się zbliżyła, zdała sobie sprawę, że postać jest zaledwie dzieckiem; bawełniana suknia zaś koszulą nocną. Grania zobaczyła, że nad morzem unoszą się czarne burzowe chmury, a na policzkach poczuła pieczenie pierwszych słonych kropelek wiszącego w powietrzu deszczu. Bezbronność ludzkiej kruszynki na dzikim tle nadmorskiego klifu sprawiła, że przyspieszyła kroku.

Wiatr świstał jej koło uszu i powoli coraz bardziej wyrażał swoją wściekłość. Grania zatrzymała się niecałe dziesięć metrów od dziewczynki, która nadal trwała bez ruchu. Zobaczyła, jak małe sine palce jej nóg wczepiły się w skałę, a wzmagający się wiatr chłoszcze chwiejne ciało, kołyszając nim jak młodą wierzbą. Zbliżyła się do dziewczynki i stanęła tuż za nią, niepewna, co robić. Instynkt mówił Grani, by podbiec i ją chwycić, ale gdyby dziewczynka spłoszyła się i odwróciła, jedno drobne potknięcie mogłoby doprowadzić do niewyobrażalnej tragedii, gdyż dziecko spotkałaby niechybna śmierć na pokrytych morską pianą skałach, które szczyrzyły zęby trzydzieści metrów niżej.

Grania zatrzymała się ogarnięta paniką i desperacko szukała w myślach sposobu, by uchronić małą przed groźbą upadku. Ale zanim zdążyła coś postanowić, dziewczynka odwróciła się powoli i popatrzyła na nią niewidzącymi oczami.

Grania instynktownie wyciągnęła do niej rękę.

— Nie skrzywdzę cię. Obiecuję. Chodź do mnie. Będiesz bezpieczna.

Ale dziewczynka bez ruchu stała na krawędzi klifu z wlepionym w nią pustym wzrokiem.

— Zabiorę cię do domu, jeśli mi powiesz, gdzie mieszkasz. Tutaj możesz umrzeć. Proszę, pozwól mi sobie pomóc — błagalnie namawiała ją Grania.

Zrobiła jeszcze jeden krok w stronę dziecka, aż nagle dziewczynka jakby obudziła się ze snu. Przez twarz przemknął jej cień strachu. W okamgnieniu odwróciła się w prawo i rzuciła do biegu wzdłuż brzegu klifu, aby uciec Grani. Wkrótce nie było jej widać.

• • •

— Już miałam wysłać po ciebie ludzi, żeby cię szukali. Przecie na dobre rozszałała się burza.

— Mamusiu, mam trzydzieści jeden lat, a z tego ostatnie dziesięć spędziłam na Manhattanie — sucho odparła Grania. Weszła do kuchni i powiesiła kurtkę nad gorącą kuchenką. — Nie musisz mnie pilnować. Jestem już duża, wiesz? — Uśmiechnęła się, podeszła do matki, która nakrywała do stołu przed kolacją, i pocałowała ją w policzek. — Naprawdę.

— Może i tak, ale znałam o wiele silniejszych mężczyzn, co ich w taki sztorm wicher zmiotł z klifu.

Kathleen Ryan gestem wskazała, jak dziko wyje wiatr za kuchennym oknem i jak szarpie zmartwiałe, opadłe z kwiatów gałązki glicynii, tak że uderzają monotennie o szyby.

— Zaparzyłam świeżą herbatę. — Kathleen wytarła ręce o fartuch i podeszła do kuchenki. — Nalać ci do filiżanki?

— Z chęcią się napiję, mamó. Ale usiądź i daj nogom parę minut odpocząć, a ja naleję nam obu. — Grania podprowadziła matkę do kuchennego krzesła, odsunęła je od stołu i delikatnie ją posadziła.

— Tylko na pięć minut, bo o szóstej chłopaki wracają na kolację.

Kiedy Grania nalewała mocny płyn do dwóch filiżanek, w milczeniu podziwiała, jak matka przykłada się do prac domowych dla dobra męża i syna. Nic nie zmieniło się od czasu, gdy tu mieszkała: Kathleen zawsze dogadzała swoim mężczyznom, a ich potrzeby i zachcianki przedkładała nad własne. Ale kontrast między życiem matki i jej światem, w którym emancypacja i równość płci jest czymś normalnym, sprawił, że Grania poczuła się nieswojo.

No bo... mimo wolności od niemodnej męskiej tyranii — tak to nazywało wiele współczesnych kobiet — która z nich jest szczęśliwsza: matka czy córka?

— Proszę, mamó. Masz ochotę na ciastko? — Grania postawiła przed Kathleen puszkę i otworzyła ją. Jak zwykle była

po brzegi wypełniona przekładanymi kremem ozdobnymi herbatnikami custard creams, brązowymi bourbons z kremem czekoladowym i kruchymi, okrągłymi shortbreads. Następna pamiątka z dzieciństwa, i to taka, na którą wiele jej dbających o figurę koleżanek z Nowego Jorku patrzyłoby z przerażeniem niczym na bombę atomową.

Kathleen wzięła dwa i powiedziała:

— Weź choć jedno dla towarzystwa. Jesz mniej niż jaka myszka.

Grania posłusznie zabrała się do skubania ciastka. Pomyślała o tym, że od chwili przyjazdu dziesięć dni temu cały czas pęka z przejedzenia, obficie karmiona domowymi potrawami matki. A sądziła, że może się pochwalić najlepszym apetytem wśród większości znajomych z Nowego Jorku. Na dokładkę z piekarnika korzystała naprawdę zgodnie z jego przeznaczeniem, zamiast trzymać tam pod ręką talerze.

— Spacer trochę ci rozjaśnił w głowie? — zagaiła Kathleen, pochłaniając trzecie ciastko. — Kiedy ja mam coś do przemyślenia, zawsze idę na spacer i wiem, że jak wrócę, będę wiedziała, co robić.

— Szczerze mówiąc — Grania łyknęła herbaty — widziałam nad morzem coś dziwnego, mamó. Małą dziewczynkę, ośmioletnią, może dziewięcioletnią. Stała w nocnej koszuli na samym brzegu klifu. Miała piękne włosy, długie, kręcone, rude... i jakby lunatykowała. Odwróciła się do mnie, kiedy zaczęłam iść w jej stronę, ale oczy miała — Grania szukała odpowiedniego słowa — puste. Jakby mnie nie widziała. Potem chyba się ocknęła i uciekła ścieżką wzdłuż klifu jak spłoszony królik. Wiesz, kto to mógł być?

Grania zobaczyła, że Kathleen blednie.

— Nic ci nie jest, mamó?

Kathleen aż się wzdrygnęła. Wlepiała wzrok w córkę.

— Mówisz, że parę minut temu widziałas ją na spacerze?

— Tak.

— Święta Mario, Matko Boska. — Kathleen przeżegnała się. — Wrócili.

— Kto wrócił, mamó? — zapytała Grania zmartwiona, że matka jest aż tak wstrząśnięta.

— Po co mieliby wracać? — Kathleen nieobecny wzrokiem wpatrywała się w noc za oknem. — W jakim celu? Myślałam, że to się nareszcie skończyło... że wyjechali na dobre. — Chwycała Granię za rękę. — Jesteś pewna, że widziałaś dziewczynkę, a nie dorosłą kobietę?

— Jak najbardziej, mamó. Już mówiłam, miała osiem, dziewięć lat. Martwiłam się o nią, bo nic nie miała na nogach i wyglądała na przemarznąętą. Szczerze mówiąc, zastanawiałam się, czy nie jest duchem.

— Bo i trochę tak było, Graniu. A jakże — mruknęła Kathleen. — Pewnikiem przyjechali w ciągu paru ostatnich dni. W zeszły piątek byłam za górką i przechodziłam kole dworu. Było trochę po dziesiątej wieczorem, ale w oknach się nie świeciło. Stary dwór był zamknięty na cztery spusty.

— Co to za miejsce?

— Dwór Dunworley.

— Stary, opuszczony pałacyk, który stoi za nami, nad kłifem? — zapytała Grania. — Od lat stał niezamieszkanym.

— Kiedy byłaś dzieckiem, nikt tam nie mieszkał, ale — Kathleen westchnęła — wrócili po twoim wyjeździe do Nowego Jorku. A potem, kiedy... zdarzył się ten wypadek, wyjechali. Wszyscy myśleli, że ich w tej okolicy nigdy więcej nie zobaczymy. I ludziska cieszyli się z tego — podkreśliła. — Między nimi a nami są stare zaszłości. Ale co tam. — Kathleen uderzyła dłonią w stół i szykowała się, żeby wstać. — Co było, a nie jest... Tobie radzę trzymać się od nich z daleka. Nasza rodzina tylko się przez nich nacierpiała, ot co.

Grania przyglądała się, jak matka podchodzi do kuchenki. Kiedy wyjmowała z piecyka garnek z wieczornym posiłkiem, twarz miała zaciętą.

— Jeśli dziecko, które widziałam, ma matkę, to na pewno chciałaby wiedzieć, w jakim znalazło się dziś niebezpieczeństwie, prawda? — sondowała Grania.

— Nie ma matki. — Drewniana łyżka Kathleen rytmicznie mieszała gulasz.

— Umarła?

— Tak.

— Rozumiem... To kto opiekuje się dzieckiem?

— Nie pytaj mnie o ich rodzinne układy. — Kathleen wzruszyła ramionami. — Nie obchodzi mnie to. Nie chcę wiedzieć.

Grania zachmurzyła się. Reakcja matki była całkiem inna niż zwykle. Kathleen miała wielkie macierzyńskie serce, które mocno i głośno biło dla każdego, kto znalazł się w opałach. Pierwsza biegła do kogoś z rodziny lub przyjaciół, kto potrzebował pomocy. Zwłaszcza jeśli chodziło o dzieci.

— Jak umarła jej matka?

Drewniana łyżka przestała mieszać w garnku i zapadła cisza. W końcu Kathleen westchnęła ciężko i odwróciła się w stronę córki.

— No cóż, jeśli ja ci nie powiem, zaraz zrobi to ktoś inny. Targnęła się na własne życie. No tak, właśnie.

— Czyli popełniła samobójstwo?

— To jedno i to samo, prawda, Graniu?

— Kiedy?

— Cztery lata temu rzuciła się z klifu. Ciało odnaleźli dwa dni później, wyrzuciło je morze na plaży w Inchydoney.

Teraz z kolei zamilkła Grania. Po chwili odważyła się spytać:

— W którym miejscu skoczyła?

— Widzi mi się, że tam, gdzie dzisiaj zobaczyłaś jej córkę... Moim zdaniem Aurora szukała matki.

— Wiesz, jak się nazywa?

— Oczywiście. To żadna tajemnica. Wszystko w okolicy należało kiedyś do rodziny Lisle'ów, łącznie z naszym domem. Od zamierzchłych czasów byli panami i lordami na tych włościach. W latach sześćdziesiątych sprzedali ziemię, ale dwór na klifie sobie zatrzymali.

— Widziałam gdzieś to nazwisko. Lisle...

— Cmentarz tutaj pełen jest ich grobów. Ona też tam leży.

— Widziałś już kiedyś tę dziewczynkę, Aurorę, na klifie?

— Właśnie dlatego tata ją stąd zabrał. Po śmierci matki chodziła po klifie i ciągle ją wołała. O mało nie oszalała z rozpacz. Moim zdaniem.

Grania zobaczyła, że twarz matki nieco złagodniała.

— Biedna mała — powiedziała i westchnęła.

— Tak. Aż przykro było patrzeć, i nie zasłużyła na to, ale ich rodzina pokutuje za coś złego. Posłuchaj mnie, Graniu, i najlepiej się z nimi w ogóle nie zadawaj.

— Ciekawe, dlaczego wrócili? — mruknęła Grania niemal sama do siebie.

— Ci Lisle'owie robią, co chcą. Nie wiem co i wcale mnie to nie interesuje. Teraz lepiej pomóż mi nakryć do stołu.

• • •

Grania poszła na górę do sypialni tuż po dziesiątej, jak co noc od czasu powrotu do domu. Na dole matka krzątała się w kuchni i przygotowywała stół do śniadania. Ojciec drzemał na fotelu przed telewizorem, a brat, Shane, był w wiejskim pubie. We dwójkę mężczyźni obrabiali dwieście hektarów ziemi na farmie. Głównie pasły się tam mleczne krowy i owce. „Chłopak”, jak pieszczotliwie wołano na Shane'a, nie zdradzał zamiaru wyprowadzenia się do własnego domu. Kobiety przychodziły i odchodziły, ale rzadko która przekraczała próg chaty Ryanów.

Kathleen wznosiła oczy do nieba na kawalerski stan syna, lecz Grania wiedziała, że matka by bez niego zginęła.

• • •

Wtuliła się w pościel i wsłuchiwała w dzwoniący o szyby deszcz. Miała nadzieję, że biedna Aurora Lisle jest już w domu bezpieczna i ktoś ciepło ją opatulił. Przewróciła kilka stron książki, ale wzięło ją na ziewanie i nie mogła się skupić. Może to przez tutejsze świeże powietrze zrobiła się taka śpiąca? W Nowym Jorku rzadko kiedy szła spać przed dwunastą.

Życie matki wyglądało całkiem inaczej. Grania z trudem odnajdywała w pamięci jakiś wieczór, kiedy Kathleen nie było w domu. A jeśli matka musiała iść gdzieś na noc, bo na przykład wzywano ją do opieki nad chorym krewnym, przygotowania do zapewnienia tego, żeby rodzina nie chodziła głodna i miała poprane ubrania, przypominały operację wojskową. Co do ojca, Grania bardzo wątpiła, żeby choć jedną noc z trzydziestu czterech lat małżeństwa spędził poza własnym łóżkiem. Całe życie wstawał o piątej trzydzieści i szedł do szopy doić krowy; do domu wracał z farmy po zapadnięciu zmroku. Mąż i żona dokładnie wiedzieli, gdzie się które w danej chwili znajduje. Ich życie stanowiło jedność, byli nierozłączni.

A spoiwem, które trzymało ich razem, były dzieci.

Osiem lat temu, kiedy zamieszkała z Mattem, uznali za oczywiste, że któregoś dnia przyjdą dzieci. Jak typowa nowoczesna para do nadejścia tej chwili brali się z życiem za bary i robili kariery. Póki się da, żyli szybko i intensywnie.

Aż nagle, pewnego ranka, Grania obudziła się, jak co dzień włożyła dres i bluzę z kapturem i pobiegła wzdłuż rzeki Hudson do parku Battery. W Winter Gardens zatrzymała się na kawę latte i bajgła. Właśnie tam się to stało. Sączyła sobie kawę, kiedy jej wzrok padł na wózek, który stał przy stoliku obok. W środku

było niemowlę i mocno spało. Grania nagle poczuła przemożną chęć, by wyjąć dziecko z wózka i dla ochrony przytulić do piersi jego miękką, puchatą główkę. Matka malucha uśmiechnęła się do niej nerwowo, potem wstała i przesunęła wózek poza zasięg jej zainteresowania, a Grania pobiegła z powrotem do domu. Emocje, które w niej się obudziły, sprawiły, że brakowało jej tchu.

Myślała, że jej przejdzie, więc cały dzień w skupieniu wydobywała kształt zamówionej rzeźby z miękkiej brązowej gliny, ale jej nie ulżyło.

O szóstej wyszła z pracowni, wzięła prysznic i ubrała się na otwarcie galerii sztuki, gdzie zaproszono ją na wieczór. Nalała sobie kieliszek wina i podeszła do okna, z którego widać było mrugające światła New Jersey i drugą stronę rzeki Hudson.

— Chcę mieć dziecko.

Wzięła potężny łyk. I rozchichotała się z absurdalności słów, które właśnie powiedziała. Powtórzyła je, żeby się upewnić, że to nonsens.

Ale zdanie wydało jej się w porządku. I nie tylko — sprawiało wrażenie czegoś całkiem naturalnego, jakby taka myśl i potrzeba tkwiły w niej całe życie, a wszystkie powody, dla których miałyby tak nie być, po prostu wyparowały i to one wydały jej się teraz absurdalne.

Grania poszła na otwarcie galerii, pogadała o niczym z ludźmi ze środowiska, którzy zwykle przychodzili na takie imprezy, czyli artystami, kolekcjonerami sztuki i innymi bywalcami. Jednak w myślach rozpatrywała praktyczne aspekty podjętej właśnie życiowej decyzji. Czy będą musieli się przeprowadzić? Nie, na razie chyba nie — loft w dzielnicy TriBeCa był przestronny, a gabinet Matta z łatwością można zamienić na pokój dla dziecka. I tak rzadko go używa, bo woli pracować na laptopie w salonie. Mieszkają na czwartym piętrze, ale jest winda towaro-

wa, do której zmieści się wózek. Park Battery ma dobrze wyposażony plac zabaw i świeże powietrze znad rzeki. Można tam chodzić na spacer. Grania pracuje w domowej pracowni, więc nawet jeśli będą musieli zatrudnić nianię, będzie zaledwie kilka sekund od dziecka i w razie potrzeby może wpadać.

W nocy położyła się w dużym, pustym łóżku i westchnęła niecierpliwie na myśl, że jeszcze jakiś czas swoje plany i emocje musi zachować dla siebie. Matt od tygodnia był w podróży i miał wrócić za kilka dni. Nie była to wiadomość, którą można po prostu zakomunikować przez telefon. Zasnęła dopiero nad ranem, w myślach widząc dumną minę Matta, kiedy wręczy mu jego nowo narodzone dziecko.

Po powrocie do domu Matt przejął się pomysłem tak samo jak ona. Natychmiast z przyjemnością oddali się wprowadzaniu zamiaru w życie. Oboje bardzo się cieszyli, że łączy ich wspólny tajemny plan, który na dobre scementuje ich związek, podobnie jak kiedyś związki ich rodziców. Znaleźli brakujące ogniwo, które raz na zawsze połączy ich w jednolitą komórkę wspomagających się nawzajem ludzi. Krótko mówiąc — w rodzinę.

• • •

Teraz Grania leżała w wąskim łóżku z dzieciństwa i słuchała, jak wściekły wiatr obija się o kamienne mury wiejskiej chaty. Sięgnęła po chusteczkę i wydmuchała nos.

To działo się rok temu. Straszliwa prawda zaś była taka, że ten „wspólny plan” nie połączył ich, ale zniszczył.

2

Kiedy obudziła się następnego ranka, po wieczornym sztormie i szarych chmurach zostało tylko wspomnienie. Na niebie pokazało się rzadko w zimie spotykane słońce. Oświetliło pagórkowaty krajobraz za oknem, uwydatniając bezkresną zieleń pól wokół farmy, którą od czasu do czasu urozmaicały białe wełniste kłębki pasących się na nich owiec.

Grania z doświadczenia wiedziała, że taki stan rzeczy nie potrwa długo. Słońce w zachodnim Corku przypominało kapryśną diwę, która łaskawie pojawia się na scenie jak dama kameliowa, by skapać wszystkich w blasku swojej chwały, a potem zniknąć równie szybko, jak się pojawiła.

Przez ostatnie dziesięć dni bez przerwy padało i Grania nie mogła zgodnie ze swoim zwyczajem rano pobiegać. Dlatego teraz wyskoczyła z łóżka i zaczęła buszować w nadal nierozpakowanej walizce, żeby znaleźć bluzę z kapturem, legginsy i sportowe buty.

— Ojej, ale wcześniej się dzisiaj zerwałaś — skomentowała matka, kiedy Grania pojawiła się na dole w kuchni. — Zjesz owsianki?

— Troszeczkę, kiedy wrócę. Idę pobiegać.

— Ale się zanadto nie męcz. Moim zdaniem nie wyglądasz zdrowo. Błada jesteś, nie masz śladu rumieńców.

— Właśnie chcę ich nabrać, mamó. — Grania stłumiła uśmiech. — Na razie.

— Tylko się nie przezięb, dobrze?! — zawołała Kathleen w stronę znikających pleców córki. Wyglądała przez kuchenne okno, żeby popatrzeć, jak Grania biegnie wąską alejką przez pola koło starego muru, ułożonego z kamieni bez zaprawy, który prowadził do drogi, a potem do ścieżki nad klifem.

Kiedy Grania przyjechała do domu, Kathleen na jej widok doznała szoku. Jej piękna, dorodna córka, która przyprawiała mężczyzn o zawrót głowy, obdarzona policzkami jak brzoskwinie, kremową cerą, kręconymi blond włosami i pełnymi blasku turkusowymi oczami, wyglądała, jakby ktoś uszczknął jej życia. Do męża Johna powiedziała, że Grania jest jak jaskraworóżowa spódnica, którą ktoś przez pomyłkę włożył do prania z ciemnymi rzeczami. I wyciągnął poszarzałą szmatkę bez koloru.

Kathleen wiedziała, dlaczego tak się stało. Grania powiedziała jej, kiedy zadzwoniła z Nowego Jorku, żeby spytać, czy może na trochę przyjechać do domu. Oczywiście Kathleen zgodziła się, zachwycona niespodziewaną okazją bycia z córką. Ale nie potrafiła zrozumieć, dlaczego Grania postąpiła w ten sposób. Przecież był to czas, gdy ona i jej mężczyzna nawzajem się potrzebowali i powinni wspierać się w żałobie, a nie oddalać na tak dużą odległość.

Jej ulubieniec, Matt, dzwonił co wieczór, żeby rozmawiać z Granią, ale ona uparcie odmawiała podejścia do telefonu. Kathleen zawsze miała do Matta słabość. Był taki schludny, przystojny, miał miękki akcent z Connecticut i nienaganne maniere. Przypominał Kathleen gwiazdorów filmowych, którymi zachwycała się jako młoda dziewczyna. Młody Robert Redford —

tak według niej wyglądał Matt. Nie rozumiała, dlaczego Grania nie wyszła za niego już parę lat temu. A teraz córka, jak zawsze uparta, kiedy się na kogoś zawezmie, na dobre go straci.

Kathleen niewiele wiedziała o zwyczajach panujących w wielkim świecie, ale rozumiała mężczyzn i ich ego. Nie byli stworzeni jak kobiety — brakowało im odporności na odrzucenie — więc jednego była absolutnie pewna: wkrótce Matt przestanie co wieczór dzwonić i się podda.

Chyba że jest coś, o czym Kathleen nie wie...

Westchnęła, sprzątnęła naczynia po śniadaniu i włożyła je do zlewu. Grania była jej złotą dziewczyną — jedyną z klanu Ryanów, która opuściła gniazdo i zrobiła wszystko, by rodzina, a zwłaszcza matka, mogła być z niej dumna. Była dzieckiem, o które pytali krewni. Z zachwytem oglądali wycinki z najróżniejszych gazet przedstawiające szczegóły jej ostatniej wystawy w Nowym Jorku. Fascynowali ich bogaci klienci, którzy zamawiali u Grani rzeźby, aby uwiecznić w brązie twarze swoich dzieci lub zwierzęta.

Sukces w Ameryce nadal był dla Irlandczyków szczytem marzeń. Kathleen wytarła miseczki i sztucce, a potem wstawiła je do kuchennego kredensu. Oczywiście niczyje życie nie jest idealne, Kathleen o tym wiedziała. Zawsze wydawało jej się, że tupot małych nóżek nie jest czymś, za czym Grania specjalnie tęskni. Zaakceptowała to. Przecież ma jeszcze wspaniałego, silnego syna, który kiedyś da jej wnuki. A jednak chyba się myliła. Chociaż Grania prowadziła eleganckie życie i mieszkała w Nowym Jorku, który dla Kathleen był pępkiem świata, brakowało jej dzieci. I dopóki córka nie będzie ich miała, nie zazna szczęścia.

Kathleen nie mogła pozbyć się myśli, że Grania sama napotyła sobie biedy. Mimo wszystkich nowomodnych leków na to, aby

wesprzeć lub rozbudzić cud natury, nic nie zastąpi młodości. Ona miała zaledwie dziewiętnaście lat, kiedy urodziła Granię. I tak buzowała energią, że za dwa lata znalazła siłę na drugie dziecko. Grania ma lat trzydzieści jeden. Wbrew temu, co sądzą współczesne pracujące kobiety — wszystkiego mieć się nie da.

Więc choć współczuła córce z powodu jej straty, umiała godzić się na to, co ma, i nie rozpaczać nad tym wszystkim, czego mieć nie może. Z taką myślą weszła na górę, żeby pościelić łóżka.

• • •

Grania opadła na wilgotną, omszałą skałę, by odetchnąć. Zasapała się jak staruszka. Poronienie i brak ruchu najwyraźniej dawały znać o sobie. Włożyła głowę między nogi i z całej siły zaczęła kopać mocne kępy ostrej trawy pod butami. Z uporem trzymały się korzeni, którymi zakotwiczyły się pod ziemią. Nie dawały się wyrwać. Gdyby tylko maleństwo, które w niej było, równie mocno trzymało się życia...

Minęły cztery miesiące... oboje z Mattem w końcu uznali, że ciąża jest niezagrażona — wszyscy mówią, że po tym okresie zwykle jest bezpiecznie. Grania, która do tego czasu umierała ze strachu, powoli się uspokajała i zaczęła się oddawać marzeniom o tak bardzo wytęsknionym, bliskim macierzyństwie. Razem z Mattem przekazali wiadomość obu parom dziadków. Rodzice Matta, Elaine i Bob, zabrali ich do L'Escale, w pobliżu ich ogromnego domu na ogrodzonym osiedlu Belle Haven w Greenwich. Bob prosto z mostu spytał, kiedy wezmą długo wyczekiwany ślub, skoro Grania spodziewa się dziecka. W końcu to ich pierwsze wnuczę i Bob nie krył, że dziecko musi otrzymać rodowe nazwisko. Grania poszła w zaparte — nie znosiła, gdy ktoś, a zwłaszcza ojciec Matta, przypierał ją do ściany, i odparła, że muszą to jeszcze z Mattem przedyskutować.

Tydzień później, kiedy byli u siebie w TriBeCa, przez domofon oznajmiono, że przyjechał samochód dostawczy z Bloomingdale's i przywiózł pełne wyposażenie pokoju dla dziecka. Grania była zbyt zabobonna, aby umieścić rzeczy w lofcie, więc kazała zanieść je do piwnicy, gdzie miały czekać, aż zbliży się rozwiązanie. Przyglądając się ustawianym w kącie paczkom i paczuszkom, wiedziała, że Elaine pomyślała o wszystkim.

— Już po naszych planach wycieczki do Bloomingdale's, żeby wybrać łóżeczko albo zastanowić się, jakie mi odpowiadają pieluszki — niewdzięcznie burczała wieczorem do ucha Mattowi.

— Mama chce nam tylko pomóc, Graniu — bronił matki Matt. — Wie, że mało zarabiam, a twoje zarobki są co prawda dobre, ale sporadyczne. Może jednak powinienem zacząć pracować u ojca, skoro w drodze jest maleństwo? — Matt wskazał niedużą, ale już widoczną wypukłość brzucha Grani.

— Nie, Matt — zaprotestowała. — Ustaliliśmy, że tego nie zrobisz. Nie miałbyś własnego życia i ani trochę wolności, gdybyś pracował u ojca. Wiesz, jaki bywa apodyktyczny.

Grania zrezygnowała z oderwania trawy od korzeni i zapatrzyła się w morze. Uśmiechnęła się na myśl o tym, jak delikatnie opisała Mattowi ojca. Bob miał manię kontrolowania swego syna. Rozumiała, jak bardzo rozczarowało go to, że Matt nie chce przejąć firmy inwestycyjnej ojca, nie potrafiła jednak zrozumieć braku zainteresowania i dumy z zawodu, który wybrał. Mattowi szło wspaniale i zyskiwał nazwisko i renomę jako autorytet w dziedzinie psychologii dziecięcej. Był wykładowcą na Uniwersytecie Columbia i bardzo często zapraszano go z wykładami na uniwersytety w całych Stanach. Co więcej, Bob cały czas traktował Granię protekcyjnie i rzucał drobne, ale uszczypliwe uwagi na temat jej wychowania i wykształcenia.

Wspominając przeszłość, Grania z ulgą myślała o tym, że zrezygnowali z przyjęcia pomocy finansowej ze strony rodziców Matta. Nawet na początku ich związku, kiedy dopiero wyrabiała sobie nazwisko jako rzeźbiarka, a Matt kończył doktorat i z trudem opłacali czynsz za dwupokojowe mieszkanie, z całej siły walczyła o niezależność. Miała po temu powody, pomyślała teraz. Błyskotliwe, nienagannie ubrane dziewczęta z Connecticut, które poznała przez Matta i jego rodzinę, diametralnie różniły się od prostej, wychowanej w klasztornej szkole dziewczyny z zapadłej prowincji w Irlandii. Rozpad związku był im chyba pisany...

— Dzień dobry...

Grania podskoczyła, słysząc głos. Rozejrzała się dookoła, ale nikogo nie zobaczyła.

— Powiedziałam: dzień dobry.

Głos dochodził zza jej pleców. Odwróciła się, aby zobaczyć, kto do niej mówi.

I oto za jej plecami stała Aurora. Na szczęście dzisiaj ubrana była w dżinsy, na szczupłym ciele miała luźną kurtkę, a na głowie wełnianą czapkę, która przykryła jej wspaniałe rude włosy, ukazując tylko parę kosmyków. Miała drobną twarz w ślicznym, regularnym kształcie serca, a ogromne oczy i pełne usta nie trzymały proporcji w stosunku do reszty buzi.

— Dzień dobry, Auroro.

Powitanie Grani wywołało zdziwienie w oczach dziewczynki.

— Skąd pani wie, jak się nazywam?

— Wczoraj cię widziałam.

— Naprawdę? Gdzie?

— Tutaj. Na klifie.

— Naprawdę? — Aurora zachmurzyła się. — Nie pamiętam, żebym wczoraj tu była. I na pewno z panią nie rozmawiałam.

— Nie rozmawiałaś, Auroro. Po prostu cię widziałam. To wszystko — wyjaśniła Grania.

— Więc skąd pani wie, jak się nazywam? — mówiła z arystokratycznym angielskim akcentem.

— Zapytałam mamę, kim może być dziewczynka o pięknych rudych włosach. I mi powiedziała.

— A skąd ona może wiedzieć? — spytała władczy tonem.

— Całe życie mieszka w tej wiosce. Powiedziała, że kilka lat temu wyjechaliście.

— Tak, to prawda. Ale wróciliśmy. — Aurora popatrzyła na morze i rozpostarła ramiona, jakby je chciała objąć. — Uwielbiam to miejsce. A pani?

Grania odniosła wrażenie, że pytanie dziewczynki jest właściwie stwierdzeniem, z którym nie wolno się nie zgodzić.

— Oczywiście. Tutaj się urodziłam i tu dorastałam.

— Więc... — Aurora z gracją usiadła na trawie obok Grani, a jej błękitne oczy przeszły ją na wylot. — Jak pani się nazywa?

— Grania. Grania Ryan.

— Nie mogę powiedzieć, żebym kiedyś o pani słyszała.

Grania stłumiła uśmiech, bo Aurora wyrażała się jak osoba dorosła.

— Pewnie nie ma powodu, dla którego miałabyś o mnie słyszeć. Prawie dziesięć lat tu nie mieszkałam.

Twarz Aurory rozświetliła się z radości i dziewczynka aż klasnęła w małe dłonie.

— A więc obie w tym samym czasie przyjechałyśmy w nasze ukochane miejsce.

— Chyba masz rację.

— Więc mamy towarzystwo! Może pani być moją nową przyjaciółką.

— Będzie mi bardzo miło, Auroro.

— Pewnie jest pani samotna.

— Może i masz rację... — Grania uśmiechnęła się. — A ty? Też jesteś tu samotna?

— Tak. Czasami. — Aurora wzruszyła ramionami. — Tata zawsze ma dużo pracy i często wyjeżdża, więc zostaje mi towarzystwo gospodyni. A ona nie umie się dobrze ze mną bawić. — Dziewczynka z niesmakiem zmarszczyła zgrabny, zadarty i lekko piegowaty nosek.

— Ojej — powiedziała Grania z braku lepszych pomysłów na komentarz. Niezwykłe zachowanie dziecka jednocześnie rozbroiło ją i wprawiło w zakłopotanie. — Masz chyba koleżanki w szkole?

— Nie chodzę do szkoły. Ojciec chce, żebym była z nim w domu. Mam guwernantkę.

— Więc gdzie się dziś podziała?

— Stwierdziliśmy z tatą, że jej nie lubimy, i zostawiliśmy ją w Londynie. — Nagle się rozchichotała. — Spakowaliśmy rzeczy i po prostu wyjechaliśmy.

— Rozumiem — powiedziała Grania, choć absolutnie nic nie rozumiała.

— Pracuje pani? — zapytała Aurora.

— Tak, jestem rzeźbiarką.

— To ktoś, kto robi pomniki z gliny?

— Coś w tym stylu — odpowiedziała Grania.

— A wie pani, co to jest papier mâché? — Twarz Aurory cała się rozświetliła. — Uwielbiam papier mâché. Kiedyś miałam nianię, która nauczyła mnie robić miseczki, a potem malowałyśmy je i dawałam je tatusiowi w prezencie. Mogłaby pani przyjść i zrobić ze mną coś z papier mâché? Proszę.

Granię oczarował szczery entuzjazm małej.

— Dobrze. — Ze zdziwieniem stwierdziła, że kiwa głową. — Czemu nie?

— Może pani przyjść teraz? — Aurora chwyciła ją za rękę. — Chodźmy na górę, do domu, i zrobmy coś dla taty, zanim wyjedzie. — Wyciągnęła rączkę i pociągnęła Granię za kaptur. — Proszę, niech pani powie, że tak.

— Nie, Auroro, teraz nie mogę. Muszę pójść po rzeczy, które będą nam potrzebne. A poza tym mama pomyślałaby, że gdzieś zginęłam — dodała Grania.

Zobaczyła, jak na twarzy Aurory pojawia się smutek, z oczu znikają iskierki, a ciało traci energię.

— Ja nie mam mamy. Kiedyś miałam, ale umarła.

— Tak mi przykro, Auroro. — Grania instynktownie wyciągnęła dłoń i poklepała małą po ramieniu. — Na pewno bardzo do niej tęsknisz.

— Tak. Była najpiękniejszą, najcudowniejszą osobą na świecie. Tata zawsze mówi, że była aniołem i dlatego inne anioły po nią przyszły, żeby mogła lecieć do nieba, gdzie jest jej dom.

Grania zadrżała na myśl o smutku, jaki wyczuła u dziewczynki.

— Jestem pewna, że tata ma rację — zgodziła się. — Ale masz chociaż jego.

— Tak — potwierdziła Aurora. — Jest najlepszym tatą na świecie, do tego najprzystojniejszym. Wiem, że gdyby go pani zobaczyła, od razu by się zakochała. Wszystkie panie tak robią.

— Więc muszę go poznać, prawda? — Grania uśmiechnęła się.

— Tak. — Aurora nagle z podskokiem zerwała się z trawy. — Będzie pani tutaj jutro o tej samej porze.

Nie była to prośba, tylko rozkaz.

— Ja...

— Dobrze. — Aurora spontanicznie rzuciła się Grani w ramiona i uściskała ją. — Proszę przynieść rzeczy na papier *mâché* i pójdziemy do mnie, żeby robić miseczki dla taty. Cześć, Graniu, do jutra.

— Do widzenia. — Grania pomachała jej i przyglądała się, jak Aurora skacze i płąsa wzdłuż klifu niby młoda gazela. Nawet w kurtce i tenisówkach poruszała się z gracją.

Kiedy zniknęła z pola widzenia, Grania głęboko odetchnęła. Czowała się prawie tak, jakby ktoś rzucił na nią czar. Drobną eteryczną istotą niemal ją zniewoliła. Wstała, dla rozjaśnienia myśli potrząsnęła głową i zaczęła się zastanawiać, co powie matka, gdy jej oznajmi, że następnego dnia rano idzie do dworu Dunworley bawić się z Aurorą Lisle.